

RAFAŁ  
WITEK

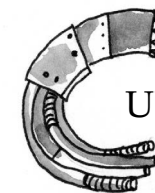
Klub  
Latających  
Ciocierek

ilustracje  
KATARZYNA  
KOŁODZIEJ



Rafał Witek  
**Klub Latających Ciotek**

© by Rafał Witek  
© by Wydawnictwo Literatura



UDOWNA PODRÓŻ

**Druga nagroda w III Konkursie Literackim im. Astrid Lindgren  
na współczesną książkę dla dzieci i młodzieży**



Okładka i ilustracje: Katarzyna Kołodziej  
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie V**

**ISBN 978-83-7672-497-3**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

– Nie chcesz chyba zawieźć Emila na wakacje do tej dziwaczki? – powiedział mój tata, kiedy mama pokazała mu list od cioci Stasi.

List przyszedł w połowie czerwca. Był w szarej kopercie, miał pieczętkę „Priorytet” i znaczek z szyszką.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytała mama. – Ciocia Stasia to miła, serdeczna osoba. No i ma duży dom pod lasem.

– A oprócz tego rozmawia sama ze sobą, łązi codziennie na cmentarz i wróży z kocich smarków – skrzywił się tata.

– To ostatnie wymyśliłeś! – oburzyła się mama. – Poza tym Emil nie będzie tam sam. Ciocia zaprosiła też Sonię.

– O nie! – krzyknąłem.

Ze wszystkich moich kuzynów i kuzynek Sonia najbardziej działała mi na nerwy. Była o rok starsza i myślała, że z tego powodu może mną rządzić. Poza tym w ogóle nie zachowywała się jak dwunastoletnia dziewczyna, tylko jak herszt bandy. I to bardzo zły herszt.

– Już wolałbym spędzić wakacje w klatce z małpami niż z tą wariatką! – powiedziałem naburmuszony i poszedłem do swojego pokoju.

– Masz ci los! – Mama załamała ręce nade mną i nad tatą. – Obydwaj jesteście siebie warcii! Najchętniej przesiedzielibyście całe lato przed komputerem i nie wystawiali nosa poza własny pokój!

– Dokładnie tak – przytaknąłem ochoczo.

Niestety, to nic nie zmieniło. Dwa tygodnie później zostałem spakowany i wsadzony do samochodu rodziców Soni. Jej mama miała nas zawieźć do Przejazdowa, bo moi rodzice jak zwykle nie mogli zwolnić się z pracy.

Przypięty pasami bezpieczeństwa do rozgrzanego siedzenia czułem się jak więzień wieziony w nieznaną.

– Cześć, kuzynku! – powitała mnie Sonia, która zdążyła już narobić bałaganu na tylnym siedzeniu. – Widzę, że znowu udało ci się przytyć!

– A ja widzę, że znowu udało ci się zgłupieć! – odparowałem.

Sonia wydeła wargi i odwróciła się do okna.

W zielonej spódniczce i z zieloną spinką we włosach wyglądała jak patyk na wycieczce krajoznawczej. Tylko jej jasne oczy o zadziornym spojrzeniu zdradzały, że mam do czynienia z istotą ludzką. Gdyby ta istota była nieco miłsza, to można by nawet powiedzieć, że jest całkiem ładna. Przynajmniej z twarzy.

Mama Soni lubiła sportową jazdę. Kiedy sunęliśmy przez miasto, auto zrywało i hamowało na każdych światłach. Robiło mi się od tego niedobrze, ale nic nie mówiłem, żeby nie wyjść na cykora.

– Ciociu, długo będziemy jechać? – zapytałem.

– To zależy, ile będzie po drodze fotoradarów! – odpowiedziała mama Soni. – A co, już się nudzisz?

Pokiwałem głową.

– To pokłóćcie się jeszcze trochę z Sonią! – roześmiała się. – Dobrze wam to wychodzi!

Co za zwariowana rodzinka! – pomyślałem i spojrzałem niechętnie na moją kuzyneczkę. Sonia odplącała mi tym samym. Potem zacząłem rozplątywać kabelek od słuchawek do empeczwórki. Uznałem, że muzyka pozwoli mi się odciąć od tej nieznośnej sytuacji chociaż na czas podróży.

Niestety, byłem naiwny. Ledwie wyjechaliśmy za miasto, Sonia zaczęła szarpać mnie za ramię.



– Emil, zobacz! – powiedziała, podtykając mi pod nos swoją obdrapaną i porysowaną konsolę do gier. – Nie wiem, jak przejść na następny poziom!

Wziąłem od niej urządzenie i przez chwilę zapoznałem się z grą. Był to jakiś prosty tor przeszkód, trzeba było kierować skaczącą kuleczką tak, żeby omijać zasadzki i zbierać czerwone kropki po drodze.

– Chce ci się grać w coś tak durnego? – prychnąłem. – Można się zanudzić!

Sonia wzruszyła ramionami.

Szybko przeszedłem ostatni etap gry i wskoczyłem na drugi poziom.

– Masz! – powiedziałem. – I nie budź mnie, zanim nie dojedziemy!

– Dzięki! – mruknęła Sonia. – Widzisz, nawet ty możesz się czasami do czegoś przydać!

Nie wiem dlaczego, ale miałem ochotę ją udusić. Im dłużej jechaliśmy i im głębsze było między nami milczenie, tym bardziej mnie ta dziewczyna denerwowała. Zachowywała się, jakby była w samochodzie sama. Grała w tę swoją grę i co chwilę wydawała jęki radości albo zawodu, rozsypywała wokół siebie chrupki, kręciła się na siedzeniu i była irytująca. Zaczynałem rozumieć, dlaczego jej mama lubi szybko jeździć.

Kiedy wreszcie – po trzech godzinach pędzenia na łeb na szyję – dotarliśmy do Przejazdowa, byłem kompletnie umęczony. Z rozkoszą wysiadłem z auta i rozprostowałem nogi.

Mama Soni nie zamierzała zostać dłużej, niż to konieczne. Przywitała się z ciocią Stasią, wypita szybko

kawę na ganku i pognąła z powrotem do miasta, do internetu i cywilizacji. A my z Sonią zostaliśmy w środku niczego.

– No i co mają takie ponure miny? Niech siądą i zjedzą ciasta rabarbarowego! – zachęciła nas ciocia Stasia.

– Nie mają przecież powodu do zmartwienia!

– Tak się tylko cioci wydaje – mruknąłem pod nosem.

– Częstuj się, nie ma co dyskutować! – stwierdziła Sonia.

Ciasto było pyszne i słodkie. Obydwoje zgłodnieliśmy w czasie jazdy, więc zajadaliśmy się nim bez umiaru. Ciocia patrzyła na nas z politowaniem, mówiła coś o miejskich głodomorach i donosiła z kuchni kolejne kawałki na porcelanowych talerzykach malowanych w jarzębinę.

Kiedy przyjrzałem się cioci bliżej, nie wydała mi się aż taka stara. Fakt, miała siwe włosy upięte w kok na czubku głowy i mnóstwo zmarszczek na twarzy, ale poruszała się żwawo, mówiła głośno i energicznie, a uścisknąć potrafiła tak, że człowiek czuł się jak jajko w imadle.

– No i co się gapi? – głos ciotki szybko wyrwał mnie z zamyślenia. – Niech odniesie talerzyk i rozpakuje swój bagaż! Lato czeka!

Sam już nie wiedziałem, czy bardziej denerwują mnie utarczki z Sonią, czy sposób, w jaki zwraca się do nas ciocia Stasia. I do tego ten jej dziwny akcent. Kiedyś w telewizyjnym reportażu o Ukrainie widziałem tamtejszych Polaków mówiących z podobnym akcentem. Być może

ciocia też pochodziła ze Wschodu? Bo jeśli nie była stamtąd, to na pewno była z piekła rodem, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

Powlokłem się na górę, dźwigając swój plecak i pękatą walizkę Soni, której ta nie omieszkała mi wcisnąć.

– Trzeba pomagać dziewczynom! – syknęła z perfidną miną.

– Napchałaś tam kamieni czy to twoje tanie dezodoranty tyle ważą? – odciąłem się.

Sonia uniosła ramię i powąchała się pod pachą.

– Może i są tanie, ale przynajmniej pachną. A ty śmierdzisz po podróży jak kiszona skarpeta!

– Skoro tak, to sama sobie targaj te swoje graty! – Zostałem jej walizkę na półpiętrze i ruszyłem dalej.

Nasz pokój był wielki, gorący i starannie uprzątnięty. Pod ścianami stały dwa łóżka, była też szafa, rozkładany parawan i stolik na giętych nogach.

– Parawan jest mój! – oznajmiła Sonia i chwyciła ciężką, metalową konstrukcję, żeby przenieść ją w pobliże jednego z łóżek. – Tu będę spać – dodała. – A ty tam! I masz nie podglądać, jak się będę przebierać!

– Też bym miał co podglądać! – prychnąłem. – Myślisz, że kija od miotły nie widziałem?

– Zaraz możesz go zobaczyć z bardzo bliska! – zagroziła Sonia. – A skoro mowa o miotle, to zrób coś z włosami. Sterczą ci we wszystkie strony jak klaunowi! Pewnie od tej czapeczki.

Przyglądałem włosy przed lustrem, rozpakowałem się i klapnąłem na łóżko z mocnym postanowieniem powrotu do domu przy najbliższej nadarzającej się okazji.

– I co my tu będziemy robić? – zapytała Sonia, rozglądając się bezradnie po pomieszczeniu.

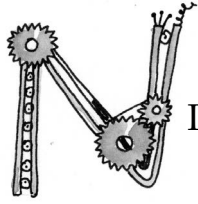
– Jak to co? Klócić się – uświadomiłem ją. – Przecież jesteś w tym świetna.

– Daj spokój, kuzynku – powiedziała z rezygnacją. – Klótnie są dobre na pierwszy dzień, a potem?

– Podobno jest tu w pobliżu jakieś jezioro – mruknąłem.

Spojrzała na mnie i westchnęła. Chyba uświadomiła sobie, że w tej głuszy jesteśmy skazani wyłącznie na siebie.





## IEZNANA ŚCIEŻKA

Sonia znów mnie wyprzedziła. Pędziła na rozklekotanym rowerze cioci Stasi, jakby brała udział w jakimś wyścigu. A to była tylko codzienna przejażdżka po leśnych ścieżkach i duktach. Chociaż przejażdżka to za mocno powiedziane. Wiele razy musieliśmy złączyć z rowerów i pchać je przez piach lub zarośla. Kilka razy byłem pewien, że dla naszych rowerów to już koniec, ale te wielgachne, stare konstrukcje jakimś cudem przeżywały kolejne uderzenia i wywrotki.

Mój pojazd był podobny do tego, który trafił się Soni, tyle że Sonia miała damkę, a ja – wariant męski, z ramą. Był ciężki i mało zwrotny, ale za to miał bardzo wygodne, szerokie siodełko.

– Na czymś takim dojedziemy chyba tylko do szpitala! – zażartowałem, kiedy ciocia zaprowadziła nas do szopy i po raz pierwszy pokazała rowery.

– Niech nie będzie taki dowiecipny, bo za chwilę nic nie dostanie! – zagroziła ciocia Stasia.

Na wszelki wypadek się zamknąłem i przystąpiłem do pompowania opon. Brak internetu i zanikający zasięg w telefonie komórkowym były dostatecznie uciążliwe. Brak dostępu do środka transportu zwyczajnie by mnie wykończył.

Jak się później okazało, po napompowaniu, wypucowaniu i naoliwieniu obydwu rowerów okazały się całkiem sprawne. To dzięki nim wszystkie okoliczne atrakcje odkryliśmy z Sonią już w pierwszych dniach pobytu u cioci. Nie było tych atrakcji dużo, więc tym bardziej należało sprawdzić ich przydatność. Niestety, wyniki inspekcji nie zostawiały wiele nadziei.



Malutkie jezioro z zarośniętymi trzciną brzegami nie nadawało się do kąpieli, bo było płytkie i zamulone. Wieżyczka myśliwska na skraju lasu stanowiła świetny punkt obserwacyjny, tyle że w okolicy nie było nic do obserwowania. Drogą do miasteczka rzadko cokolwiek jeździło, więc gapienie się na samochody też nie wchodziło w rachubę.

Z czworga złego woleliśmy błędzić po lesie w nadziei, że natkniemy się na sarnę, jelenia albo jakiegokolwiek inne stworzenie, które wprowadzi trochę zamieszania w codzienną nudę. Poza tym w lesie były jagody, jeżyny, dzikie maliny i poziomki. Wprawdzie po paru dniach nie mogliśmy już na nie patrzeć, ale zbieraliśmy dla cioci. W nagrodę dostawaliśmy dodatkowe porcje ciasta i obietnice wyprawy do najbliższego miasteczka. W naszej sytuacji była to nie lada atrakcja!

– Zobacz! – Sonia zahamowała tak raptownie, że o mały włos na nią nie wpadłem. – Tu chyba jest jakaś ścieżka. Tylko strasznie zarośnięta.

– No i co z tego? – wzruszyłem ramionami.

– Jeździmy tędy od trzech dni i wcześniej jej nie zauważyliśmy. Ciekawe, dokąd prowadzi?

– Sonia! – krzyknąłem za nią, ale już było za późno.

Wcisnęła się w wąskie, niemal niewidoczne przejście między gęstymi paprociami i zniknęła mi z oczu.

– Czy dzisiaj też zamierzasz się zgubić? – dyszałem, podążając za nią. – Czy tylko chcesz porozrywać sobie gacie o gałęzie?

– Gacie to ty masz na nazwisko! – odcięła się, zeskokczyła z roweru i szła dalej, pchając go przed sobą.

Nie mogłem jej tak zostawić. Myśl, że odkryłaby coś ciekawego beze mnie, była zbyt nieznośna. Dlatego – chcąc nie chcąc – ruszyłem za nią, ryzykując odniesienie ran szarpanych, narażenie się na nadliczbowe ukąszenia oraz utratę podwieczorku.

Ścieżka wiła się wśród drzew, to zanikając, to pojawiając się kilka metrów dalej.

– O! – krzyknęła Sonia, wskazując palcem przed siebie. – Tam coś jest!

– Gdzie?

– Przed nami, między drzewami. Jakiś budynek...

Przyspieszyliśmy. Po chwili las przerzedził się i wyszliśmy na niewielką polanę. Na jej środku stała wysoka wieża z czerwonej cegły. Przypominała pozostałość po starym zamku, basztę albo osobliwą latarnię morską.

– Trochę tu pusto... – zauważyłem, rozglądając się niepewnie dookoła.

– To chyba dobrze – spuentowała Sonia. – Tłumy turystów jakoś mi tu nie pasują. Wchodzimy do środka?

– Zaczekaj! – powiedziałem, zatrzymując się przy starej, pordzewiałej tablicy zamocowanej na metalowym słupku.

Sonia rzuciła rower w krzaki i podeszła bliżej.

– Chyba dam radę odczytać – stwierdziła, przecierając rękawem powierzchnię tablicy. – „H.v.R. Rok budowy: 1935. Wysokość: 28 metrów” – sylabizowała.

– Lepiej chodź tu i mi pomóż! – krzyknąłem, kopiąc w zamknięte drzwi.

Soni nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jednym sussem przeskoczyła kamienne schodki prowadzące do wej-

ścia i chwyciła za skobel blokujący dostęp do wnętrza. Po krótkiej szarpaninie skobel wyskoczył z głośnym brzękiem, a drzwi otworzyły się, skrzypiąc niemiłosiernie.

– Uff, udało się! Ale tam w środku ciemno! I pełno robactwa... – jęknąłem.

– Chyba się nie brzydzisz?

– Co ty! Od tego mam ciebie!

– Mój bohater... – mruknęła Sonia drwiąco, bo wydawało jej się, że nie usłyszę. Ale usłyszałem. Tak samo jak wszystkie jej rozmowy z konsolą do gier, które prowadziła, kiedy udawałem, że śpię.

– Włazimy? – spytałem.

– Sama nie wiem – mruknęła Sonia. – Coś mi tu nie gra...

– Czy ty zawsze musisz szukać dziury w całym? – zdenerwowałem się. – Ruina jak ruina. Pełno takich po wioskach!

– Niby tak, ale... o tej nigdy wcześniej nie słyszałam. A tak się składa, że przed wyjazdem poprosiłem mamę, żeby mi wyszukała w internecie tutejsze atrakcje. Było o drewnianym kościele w Przejazdowie, o zjazdach hodowców gołębi, nawet o obchodach Dnia Strażaka, ale o tej wieży... ani słowa.

– Wiesz, w internecie nie ma wszystkiego – zauważyłem.

– W takim razie musimy zbadać sprawę i wrzucić fotki z opisami gdzie trzeba – uśmiechnęła się promiennie Sonia. – Nie może być tak, że w lesie stoi sobie kamienne coś, my to odkrywamy, a świat o tym nie wie! Jeśli bę-

dziemy pierwsi, to może nawet nadadzą tej wieży nasze imię? I zaproszą nas do telewizji?

– Jasne – mruknałem. – Jakbyś raz wlaźła do studia, to już by się ciebie nie pozbyli!

– Lepiej siedzieć w studiu telewizyjnym niż w mieszkaniu, w którym nigdy nikogo nie ma – westchnęła Sonia i zrobiła minę, jakby nagle przeszła jej ochota na żarty.

